

Irena Mazgay-Sobczyk

Sygnatura notacji: **N0047**

Data urodzenia: **30.09.1932 r.**

Data nagrania: **27.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Klus**

Czas nagrania: **70 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Irena Mazgay-Sobczyk: Irena Mazgay-Sobczyk. Mazgay przez „y” na końcu. Urodziłam się 30 września 1932 roku w Dąbrowie Górniczej. Moja mama była, jak o sobie mówiła, pruszczyk, gdańszczanką, więc poznała mojego ojca w roku 1920 w Gdańsku, w ambasadzie angielskiej, konsulacie, chyba to był wtedy konsulat, ale... I ojciec... Pobrali się i już z Polski nie wyjechali. Najpierw urodził się mój brat w 1920 roku, a ojciec znalazł się w Polsce, dlatego że drogę życia miał bardzo krętą. Urodził się w Krzeszowicach pod Krakowem, jako... Zaopiekowała się nim siostra jego matki, która była żoną nadwornego kucharza Potockich w Krzeszowicach. I Potocki został wybrany na posła do sejmu w Wiedniu, i jak pojechał, to zabrakł ze sobą kucharza i jego rodzinę. I mój ojciec nagle znalazł się w Wiedniu, gdzie ciocia się nim opiekowała i matka zmarła, a ciocia przejęła nad nim opiekę. Tam skończył szkołę powszechną, skończył gimnazjum, skończył szkołę techniczną, został inżynierem wodno-kanalizacyjnym, ale ciocia, która była patriotką polską, przez 16 lat życia w Austrii nie nauczyła się słowa po niemiecku, natomiast miała guwernera dla mojego ojca, polskiego, który uczył go języka polskiego i pisania, bo tak to szkoły były austriackie. Więc mój ojciec skończył politechnikę, pracował w Hamburgu. Potem wyjechał do Indii, robił kanalizację w New Delhi. Potem wrócił do Anglii i pracował jako naczelny inżynier, odpowiedzialny za wszystkie sprawy wodne w dokach w Liverpoolu. I tak by sobie tam żył, ale przyszedł rok 1914 i wybuchła pierwsza wojna światowa, i tatunio, jako obywatel austriacki, bo Kraków był austriacki, został zamknięty na wyspie Man w obozie internowanym, gdzie przesiedział pięć lat i sześć miesięcy. Tak mu się życie utraciło. Jak potem w 1918 roku w Londynie powstał konsulat polski, to tata się od razu tam zgłosił i nawiązał kontakty. W tym czasie przyjechał do Londynu Wojciechowski, późniejszy prezydent Polski i z przedstawicielem Spółem. Dlatego, że powstawała wtedy...

Artur Kłus: Związki Spółdzielni Polskich.

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak. Społem. I Anglicy dawali... Znaczący związkowcy angielscy dali polskiemu Społem towary na rozpoczęcie działalności. I jechał, płynął statek, „Nestun” się nazywał, z tymi towarami i było potrzeba, że Loyd nie przejmie opieki nad statkiem, ubezpieczeniowej, jeżeli na statku nie będzie osoby ze strony polskiej, jak gdyby takiego nominalnego kapitana. I namówiono mojego ojca: „Panie Michale, nie był pan w Polsce 30 parę lat, to dlaczego nie popłynąć?”. I tata mój, który był, jak cała nasza rodzina, chętny do przemieszczania się, wsiadł na „Nestuna” i przyplłynął do Gdańska. Tu poznał moją mamę i już z Polski nie wyjechał. To znaczy nie wyjechał, popracował potem jeszcze w Grecji, ale najpierw pracował w Warszawie. Zajmował się sprowadzaniem saletry z Ameryki Południowej. Potem pracował w Częstochowie. Zrobił całą sieć kanalizacyjną Częstochowy. Następnie przeszedł do Dąbrowy Górniczej, gdzie pracował nad regulacją rzeki Przemszy. Mam starszego brata, który skończył gimnazjum w Będzinie, liceum Kopernika, dostał się na politechnikę, skończył przed wojną pierwszy rok politechniki. Jak wybuchła wojna, zgłosił się do Akademickiego Korpusu Obrony Warszawy. Cały sierpień bronił, znaczy był w Warszawie, we wrześniu i potem nie wiedzieliśmy, co się z nim dzieje. Któregoś dnia przy śniadaniu dzwonek do drzwi. Dzwonek umówiony, trzy krótkie dzwonki to była rodzina. To było wiadomo, że to mógł być tylko Olek. Mama zerwała się i nagle słyszymy krzyk: „Tato, mama zemdlą!” . Więc ojciec się zerwał, ja też, miałam wtedy dziewięć lat.

Artur Kłus: Bo który to był rok?

Irena Mazgay-Sobczyk: 1939 rok, jak padła Warszawa. To był wrzesień. Wybuchła wojna 1 września, Olek był w Warszawie. Dobiegamy do drzwi, a w drzwiach stoi mój brat w pełnym mundurze podchorążego Wojska Polskiego w czapce, w mundurze skutym, matce się ręce trzęsły, zaczęła z niego zdzierać ten mundur. U nas już byli Niemcy. Ona mówi: „Co ty robisz, Olek?”. A on mówi: „Mamo, zapakuj mi to ubranie do walizki, bo ja muszę mieć zdjęcie”. I ten mój kochany wariat zabrał ten mundur, poszedł do Radzikowskiego. To był ojciec jego przyjaciela, który był w Dąbrowie Górniczej fotografem i kazał sobie zrobić zdjęcie portretowe. Zresztą wisi w drugim pokoju. I tak... No i... Trzeba było go... On miał wtedy przecież 19 lat, więc baliśmy się, że będą kłopoty z nim, więc mój ojciec skontaktował się z tatą Danką w tramwajach i Olek od następnego dnia zaczął pracę w tramwajach jako zwykły robotnik, żeby po prostu mieć jakieś zaczepienie i arbeit pass. I od razu chciał uciekać na Zachód, ale ojciec się nie zgodził. Powiedział, że muszą poczekać do wiosny, żeby przejść przez Tatry. I w pierwszy dzień świąt Wielkiej Nocy, 1940 roku, po śniadaniu wielkanocnym mój braciśzek ze swoim przyjacielem, Gienkiem Wojciechowskim, pojechali do Zakopanego, przeszli przez Tatry, dostali się na Węgry, stamtąd Olek... Gienek, który był po podchorążówce od razu został skierowany do wojska, a Olek miał okazję przenieść się do Francji. Był u Maczka w zwiadowcach motocyklowych i potem się dostał do Anglii. I w Anglii poszedł do lotnictwa, w lotnictwie walczył w 303. i w 309. Pułku Lotniczym Polskim. To jest zdjęcie mojego brata. Tak wrócił po upadku Warszawy, w takim mundurze. Mój brat tak jak ja, od dziecka mówił bardzo dobrze po niemiecku. Mój brat w ogóle do szóstego roku życia mówił tylko po niemiecku, bo moja mama też nie bardzo znała polski. I dopiero jak poszedł do szkoły, to moja mama uczyła się z nim razem polskiego, ale wychowała go na Polaka.

Joanna Dardzińska: Jak on przyjechał do Dąbrowy?

Irena Mazgay-Sobczyk: Kto?

Joanna Dardzińska: Olek.

Irena Mazgay-Sobczyk: A kiedy?

Joanna Dardzińska: W 1939 roku.

Artur Kłus: Pani już mówiła.

Irena Mazgay-Sobczyk: Było tak, opowiadał, że w Warszawie, jak Warszawa padła, to on nie wyszedł, bo wojsko wyszło przecież w szeregu, a on, znając Niemców, wiedząc, co się święci, pojechał na dworzec główny, a tam stały pociągi z wojskiem niemieckim, które jechało na południe na Śląsk. Ponieważ on mówił po niemiecku po prostu jak rodowity Niemiec, dogadał się z tymi chłopakami i oni go przyjęli do pociągu, i on z nimi pojechał w kierunku Katowic, ale powiedział: „Mama, oni mnie ostrzegli, że muszę wyskoczyć pod Semaforem przed Dąbrową, dlatego że tam na pewno już jest Gestapo”. I oplotkami przyszedł do domu.

Artur Kłus: A jak pani wspomina ten okres wojny?

Irena Mazgay-Sobczyk: Proszę pana, ja byłam gówniara. Szkoły nie było, chodziłam, miałam prywatne lekcje, tajne komplety, ale uczono nas historii, uczono nas poezji, uczono nas pisać, czytać, historii Polski. Bardzo takie było uczenie, powiedziała bym, patriotyczne. Nasze nauczycielki nie przykładały zbytniej, jakby powiedzieć, uwagi do gramatyki i dlatego ja, mając 90 lat, znam perfektnie angielski, niemiecki, trochę francuski, polski, ale w żadnym z tych języków nie znam gramatyki. W ogóle. Mnie nie wolno się zapytać o żadne zaimki, przyimki, bo ja nie wiem, co to jest. Mnie tego nigdy nie uczono. Ja nie zapomnę egzaminu z języka niemieckiego na akademii medycznej, kiedy mój lektor na końcowym egzaminie, po tłumaczeniach, po rozmowie mówi do mnie: „To teraz trochę gramatyki”. Ja mówię: „Panie profesorze, nie będzie gramatyki”. „Jak to nie będzie?” „Bo ja nie znam gramatyki”. „To jak pani może mówić poprawnie?”. Ja mówię: „Panie profesorze, w Polsce jest parę tysięcy analfabetów, którzy mówią poprawnie po polsku”. I on mi powiedział jakieś zdanie z błędem. Ja go poprawiłam i on mówi: „Ale dlaczego pani mnie poprawiła?”. Ja mówię: „Nie wiem, ja słyszę. To jest dysonans. To nie może tak być, to musi brzmieć tak”. No, głupota, no, ale co zrobić. Ponieważ rodzice w domu kazali mówić jednego dnia po angielsku i drugiego dnia po niemiecku, z koleżankami mówiłam po polsku, ale nauczyłam się tych języków tak jak gdyby przy okazji. To nie były języki... Francuskiego uczyłam się w gimnazjum. Ale też uczono nas mówić... Chociaż też nie. Kiedyś ojciec mówi do mnie: „Irenko, słuchaj, jesteśmy we Francji. Zawołaj mi dorożkę”. To ja powiedziałam: „Taxi”. Ojciec mówi: „Dobrze. To jesteśmy w restauracji, zamów mi obiad”. Ja patrzę na niego i mówię: bouillon A ojciec mówi: „Irenko, a co ty umiesz po francusku?”. A ja mówię: „Josph Stalin ene ami” Nie skończyłam, bo to był życiorys Stalina po francusku. I ojciec mówi: „Irka, kiedy ja się mogę spotkać z twoją panią od francuskiego?”. Mówię: „Duża pauza jest o 11:00”. Następnego dnia tatuś był w szkole, porozmawiał z panią Szolcową i Irenka zaczęła chodzić na konwersację francuską, bo mówi, że ojcu szczeka opadła, że: „Jak ty się uczysz języka?”. Ja mam w ogóle bardzo dziurawe wykształcenie.

Ja skończyłam pierwszą klasę szkoły podstawowej przed wojną, po wojnie poszłam od razu do drugiej gimnazjalnej, czyli ja nie mam... Między pierwszą podstawówką, a drugą gimnazjalną, mam przerwę. No, tak bywa. Ojciec mój był starszy od mojej mamy o 22 lata. Jak się urodziłam, miał 56 lat. Tak że to był już starszy pan.

Artur Kłus: A mama pani jak miała na imię?

Irena Mazgay-Sobczyk: Marta. Miertelka. Mirtel na nią się mówiło. Mamuś. To tak. Nie ma co. Tata był bardzo ciekawą postacią. Pięknie rysował, pięknie malował, rzeźbił, był poliglotą, znał ileś języków, pooblatł świat trochę, ale poza tym uwielbiał przyrodę. Był członkiem towarzystwa Linneusza, a w Londynie przyjaźnił się z panem Macselfem, który był dyrektorem Kew Gardens, tych ogrodów botanicznych w Londynie. Mamy nawet książkę pana Macselfa [00:18:09], a jak mój brat dostał się do Londynu, to pierwsze kroki skierował właśnie do Macselfa i [Macself opiekował się nim przez całą wojnę. I pierwszą kartkę, jaką dostaliśmy, to była kartka z Portugalii, bo w Anglii Polacy pisali kartkę portugalską i ona zostawała dostarczona do Portugalii, a z Portugalii wysyłana do Polski. I kartka była od Oleńki Wojnarowskiej, przyjaciółki rodziny. „Kochani państwo, jestem w Lizbonie, wczoraj byłam na obiedzie u państwa Macselfów. To wiedzieliśmy, że Olek jest w Londynie. I potem dostaliśmy jeszcze raz pudełko sardynek, na którym była nalepiona kartka z adresem, pisana ręką Olka, bez żadnych... Tylko taka paczuszka przysłała, a potem się wojna skończyła i mój kochany braciszek napisał dopiero we wrześniu. Moja matka już go opłakała, uważała, że na pewno zginął, a on wtedy napisał, że żyje, że jest w Londynie, że jest w wojsku i w ogóle. I tak się życie potoczyło.

Artur Kłus: I jak dalej jeszcze te jego losy się potoczyły?

Więc tak, ponieważ Anglia... Ożenił się z Angielką, wystąpił o pobyt w Anglii i obywatelstwo, bo uważał, że jak walczył o Anglię, to mu się to należy, ale mu odpowiedzieli, że musi pracować pięć lat i wtedy się może starać, to może dostanie pozwolenie. I on się obraził, i nawiązał kontakt ze swoim nawigatorem, Nowozelandczykiem, z którym latali razem na Spitfire'ach i na Douglasach. Więc Olek latał jako pilot, a tamten jako nawigator. I Frank był Nowozelandczykiem, i Olek do niego napisał, i Frank mu przysłał zaproszenie, i wtedy mój brat, który już się ożenił, miał dziecko, wsiadł na statek i sześć tygodni płynęli do Nowej Zelandii przez Kanał Panamski. Tam w międzyczasie, ponieważ był po pierwszym roku politechniki, to w czasie wojny wykorzystywał każdy urlop w czasie wojny i był, studiował w Saint Andrew University w Szkocji. Też tak zwany civil engineer, czyli wodno-kanalizacyjny. Po wojnie jeszcze dwa lata dokończył studia, zrobił dyplom, i do Nowej Zelandii pojechał już jako pełnoprawny dyplomowany inżynier. Pracował tam pięć lat. Po pięciu latach moja bratowa powiedziała, że ona nie będzie w Nowej Zelandii, bo ona nigdy w życiu swojej rodziny nie zobaczy, bo sześć tygodni trwa podróż z Nowej Zelandii do Anglii, w jedną stronę. I tak mu wierciła dziurę w brzuchu, że Olek zaczął szukać pracy gdzieś bliżej Europy i dostał w Kanadzie. Dostał się do tak zwanego Hydro. To są zakłady energetyczne w Toronto. I przyjechali do Toronto, i w Toronto osiedli. Brat po jakimś czasie otworzył własną firmę, zajmującą się izolacją. Budował w terenach na dalekiej północy Kanady tam takie budynki, firma nazywała się Cem Al, czyli aluminium i cement. Z profili takich aluminiowych stawiali ściany od środka wypełnione izolacją cieplną i tak sobie tam żyli.

Artur Kłus: A pani w Polsce skończyła akademię medyczną, tak?

Irena Mazgay-Sobczyk: Ja skończyłam Rokitnicę w Zabrze, w Rokitnicy, akademię medyczną i właśnie odnowiłam znajomość z ciotką Irką. Aha, bo jeszcze taka... Ja byłam bardzo biednym dzieckiem. Ja byłam dzieckiem bez rodziny. Moje koleżanki miały ciocię, babcię, wujków. Ja nie miałam nikogo. Ja miałam mamę i tatę, ale miałam przyjaciół rodziców. I była taka pani doktorowa, Irena Szaniawska, pani inżynierowa Irena Sobczykowa. Przyjaciółki moich rodziców. I któregoś dnia ja taka mała, pamiętam to jak dzisiaj, przyszłam, dygnęłam i zapytałam się, czy panie pozwolą, że będę do nich mówiła: „Ciociu”. I panie się zgodziły. Słuchajcie, ja wyleciałam na podwórko i się dałam: „Ja mam ciotcie, ja mam dwie ciotcie!”. I tak tę ciotkę Irkę, cały czas żeśmy się przecież trzymali razem. Ciocia Irka Sobczykowa, ciocia Irka Szaniawska. I po wojnie, jak moja przyszła teściowa, jak zmarł ojciec Danki, to ona zerwała kontakt ze wszystkimi znajomymi. A między Dąbrową a Sosnowcem to jest 18 kilometrów. Ale nie był takiego kontaktu. Więc... Ale co święta to ja pisałam kartki do wszystkich znajomych rodziców. I między innymi do cioci Irki. I kiedyś mi się właśnie, to był chyba 1953 rok, napisałam: „Kochana ciociu, życzenia świąteczne. Co słyhać u Kalinki i Danki? Może by ciocia z dziećmi do nas wpadła”. Na Wielkanoc ciocia przyjechała z Dankiem. Bo Kalina była wtedy w szkole pielęgniarskiej, a Danek był z matką. I żeśmy się poznali...

Artur Kłus: Danek to jest...

Irena Mazgay-Sobczyk: Danek, mój mąż. Bo na niego się mówiło „Danek”, Bohdan, Danek. Daneczek. I Danek rozmawia: „A co ty robisz?”. Ja mówię: „No, ja jestem na medycynie”. „A ja studiuję w Gliwicach”. „Ja jestem w Zabrzu co tydzień, bo chodzę na basen”. A na to moja mama: „Danek, błagam cię, weź zesz ty tę Irkę za kłaki i naucz ją pływać. Przecież ja jestem stara baba i ja pływam, a ona się boi wody”. I Danek mówi: „Dobrze, to ja przyjadę. Wezmę ją na basen”. W międzyczasie mamy dwie córki, trójkę wnuków, pływać nie umiem. Oporna natura widocznie, co zrobić. Tak. I tak żeśmy się spotkali po dziesięciu latach, jak potem zaiskrzyło, potem pobraliśmy się. Ja zaczęłam specjalizację z mojej ukochanej chirurgii dziecięcej, co do której mój ojciec miał ogromne zastrzeżenia. Mówił: „Irenko, cielę powie ci tyle samo, co niemowlę, a jak coś... Idź ty na weterynarię, bo jak coś pójdzie nie tak, to się chociaż ludzie najedzą. Cielęcina bardzo zdrowa”. To jest nasze zdjęcie ze ślubu, w 1956 roku, 1 kwietnia. Ksiądz był oburzony, ale to był pierwszy dzień Wielkanocy i my braliśmy ślub kościelny w Dąbrowie. Mój ojciec zresztą też uważał, że kpiny sobie robimy. Kto to bierze ślub 1 kwietnia? Ale tak się złożyło. Życie mieliśmy bardzo ciekawe, uważam. Byliśmy ludźmi, którzy nie bali się skakać w nieznaną na głęboką wodę. W Gliwicach mieszkając, mieliśmy już dwójkę dzieci i dostaliśmy mieszkanie dwupokojowe na Ligonii. Piękne mieszkanie. W tym czasie przecież, 1957 rok to był... 1958 rok, przepraszam, dostaliśmy to mieszkanie i tam urodziłam drugą córkę, ale kłopoty mieliśmy z dziećmi straszne. Nie chcę opowiadać, bo to można wystraszyć. Dlatego, że te... Dlatego, że tak...

Artur Kłus: Problemy zdrowotne.

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak. Pierwsza się urodziła Hanusia i okazało się, że ma niewytworzoną panewkę stawu biodrowego i jest wrodzone zwichnięcie stawu biodrowego. W wieku sześciu miesięcy poszła do gipsu i była w gipsie dwa i pół roku. Co sześć tygodni zmieniany gips. Majtki gipsowe, żeby te stawy były unieruchomione. Moja mama mi wtedy pomogła, bo gdyby nie mama, to bym Hani nie wychowała. Bo ja miałam pracę, dyżury i mama zajęła się Hanią. A potem jak się urodziła Tesia, to też mi chorowała, ale to nieważne. I mój szef, Tabejski, powiedział: „Irka,

uciekaj ze Śląska. Dzieciaki potrzebują piasku i sosny. Ty jedź gdzieś, gdzie jest sucho, bo tu na Śląsku to dzieciaki dostaną gruźlicy kości". I mąż wtedy, który jeździł po Polsce na otwarcia wszystkich stacji energetycznych, trafił do Ostrołki, a tam mu zaoferowali dom z ogródkiem, pracę, a w wydziale zdrowia, jak się... Bo ja w międzyczasie zrobiłam specjalizację z okulistyki, jak się dowiedzieli, że jestem okulistką, a do Ostrołki okulistka przyjeżdżała raz w miesiącu na cztery godziny, z Warszawy. To tak się ucieszyli, że od razu pracę, jaką tylko bym chciała. I Danek przyjechał, i mówi do mnie: „Słuchaj, możemy dostać dom z ogródkiem jednorodzinny, trzypokojowy, plus pracę dla ciebie, dla mnie”. A ja mówię: „A dlaczego nie?”. Nasi znajomi na nas popatrzyli: „Wy się stuknijcie w głowę. Czy wyście zwariowali? Kto to ucieka z Gliwic?”. A my mówimy: „Nie, dlaczego?”. I pierwszy nasz taki skok to była właśnie Ostrołęka. Bardzo zacofana, Kurpie były strasznie zacofane. Ja po Gliwicach, które były, powiedziałabym na wysokim poziomie higieny i dbania o zdrowie, to Kurpie były nie wiem, sto lat za murzynami. Naprawdę. Przecież to było coś okropnego. Ale zaczęliśmy pracować, a ponieważ lubiliśmy swoją pracę, to myślę, że żeśmy się dobrze przysłużyli. Ja przeprowadzałam na przykład w Ostrołęce przesiewowe badania przedszkoli i pierwszych klas szkół podstawowych. To nie było w moich obowiązkach. Ja sobie wymyśliłam robotę. Poza tym z takiej, może się pochwałę, ale to taka ciekawostka, ponieważ jak do mnie przychodził pacjent, to ja na pacjenta patrzyłam na całość i przeważnie przy badaniu zauważałam wady zgryzu. I wysyłałam dzieci od razu do poradni ortodontycznej w Warszawie. I któregoś dnia przyjeżdża mój kierownik wydziału zdrowia, mówi: „Irka, byłem na spotkaniu kierowników i zapytałem mnie się kierownik warszawski, czy w Ostrołęce nie ma dentystów?” Pytam się: „Jak to, mamy”. Bo wszystkie skierowania na ortodontję podpisuje okulista, przesyła okulista”. Ale po prostu jak się patrzy na pacjenta, to się widzi, nie? I tak żeśmy sobie żyli. Potem doszliśmy do wniosku, że nie dorobiliśmy się w gruncie rzeczy niczego, bośmy tylko byli na gołych pensjach, więc ja postanowiłam, była okazja, można się było starać o pracę przez Polservice za granicą. Złożyłam papiery w ministerstwie zdrowia, dostałam zgodę i złożyłam ofertę, i zgłosił się szpital w Nigerii.

Artur Kłus: Który to był rok?

Irena Mazgay-Sobczyk: Pięćdziesiąty...

Joanna Dardzińska: Nie, to siedemdziesiąty... 1981 rok.

Bohdan Sobczyk: Nie. Danek.

Joanna Dardzińska: Stan wojenny jak się zaczynał.

Irena Mazgay-Sobczyk: 1981 rok.

Joanna Dardzińska: 1981 rok, tak.

Irena Mazgay-Sobczyk: 1981 rok. Więc napisałam, dostałam pismo ze szpitala, że czekają, że bardzo się cieszą, że bym przyjechała. Przystali mi bilet przez Londyn. Pojechałam, polecałam najpierw do Paryża, z Paryża do Londynu i z Londynu do Nigerii. A na miejscu w Nigerii okazało się, że szpital jest na papierze. Nie ma nic. Nie ma budynku, nie ma niczego. No. Najpierw mi dali... Był domek, w którym ja miałam mieszkać. Przerobiliśmy go na szpital. Wodę

miałam przywożoną z rzeki, którą się w kanistrach po drabinie wносиło na dach. Na dachu stała skrzynia metalowa, do której tę wodę wlewano i wtedy ja miałam wodę w kranie. Kran był taki jak przed wojną. Nie wiem, czy ktoś z państwa pamięta, metalowa taka półokrągła miska i taki kurek z kranem, przy kranie. Więc myłam ręce tylko w misce, ale jedna rzecz była pewna, alkoholu nie brakowało do dezynfekcji. Dlatego, że alkohol to był „kajkaj”. To jest spirytus z wina palmowego. Tam się destyluje wino palmowe na spirytus i on się nazywa „kajkaj”. I to było dostępne beczkami. Tak że ja do dezynfekcji rąk miałam spirytusu skolko ugodno. Tak że nie było problemu. Ale były... Mój szef zainstalował... Był dumny z siebie, mówi: „Irena, chodź, pokażę ci coś”. Zaprowadził mnie, mówi: „Tu będzie sala operacyjna”. Mówię: „Gabriel, ale tu są ściany posmarowane farbą, normalną farbą”. „A co ty chcesz?”. Ja mówię, że ja muszę umyć, to musi być zdezynfekowane, czysto. Mówię: „To musisz to pomalować farbą olejną”. „Irena, a wiesz, ile to będzie kosztowało?” Mówię: „Wiem”. „A wiesz, ile stracisz oczu i cię powieszq?”. To... „Popatrz, jakie ci światło zainstalowałem. Cztery świetlówki”. Mówię: „Gabriel, ja przy świetlówkach operować nie będę”. „A co ty chcesz? Ty wiesz, ile kosztuje lampa operacyjna?”. Ja mówię: „Gabriel, ja nie potrzebuję lampy operacyjnej, takiej jak w sali chirurgicznej. Ja potrzebuję lampę dentystyczną”. „Irena, a wiesz, ile to kosztuje?”. Mówię: „Nic mnie to nie obchodzi. Nie będę przyjmowała pacjentów, póki nie kupisz lampy”. Wytrzymałam go trzy tygodnie.

Artur Kłus: Kupił.

Irena Mazgay-Sobczyk: Kupił. No, musiał. Musiał. Wszystko tylko szantażem można było.

Artur Kłus: Ile było z personelu medycznego?

Irena Mazgay-Sobczyk: Ja i dwie pielęgniarki. To znaczy dziewczyny po trzeciej klasie gimnazjum, ale żadnej pielęgniarki. Zresztą on mi bardzo mądrze wytłumaczył. „Irena, wykształć sobie swoje pielęgniarki, bo jak ja ci dam już wykształconą, to czego się nauczyła, to nie zmienisz, chociaż byś ją zarznęła, to ona będzie robiła po swojemu”. I rzeczywiście wykształciłam sobie dwie doskonałe pielęgniarki, które...

Artur Kłus: Ale to były miejscowe?

Irena Mazgay-Sobczyk: Miejscowe dziewczyny, te Nigeryjki, mówiące po angielsku. Ponieważ w szkołach nauka była po angielsku. Proszę zrozumieć, Nigeria ma 160 narzeczy, więc już w odległości 10-15 kilometrów ludzie się nie rozumieją. Gdyby nie było języka angielskiego jako obowiązkowego, to by się ludzie między sobą nie porozumieli. A do szkoły chodzą wszyscy. I co ciekawe, każda szkoła ma mundurek. Od pierwszej klasy dzieci muszą chodzić w mundurkach. I to jest tak, albo na przykład spodenki w kratkę, bluzeczki czyste. W gimnazjach na przykład były obowiązkowe stroje białe. Proszę państwa, nie wyobrażacie sobie, że w tej biedzie, w tym braku wody, tym wszystkim, te dzieci miały codziennie świeży mundurek. Biały mundurek. Każde dziecko miało dwa. Jeden matka prała i suszyła na słońcu, a w drugim on szedł do szkoły. Myją się, ale murzyni mają, z powodu rodzaju jedzenia, bardzo ostry pot, i ja na przykład jeżdżąc do pracy, przez dłuższy okres czasu jeździłam takim busikiem 12-osobowym, który sama prowadziłam zresztą, bo nie było innego samochodu. Więc po drodze zabierałam dzieci, które szły do szkoły. Jak spotkałam na drodze w buszu garstkę dzieciaków, to one na 8:00 szły do szkoły, to ja je tym busikiem podwoziłam,

bo one miały jakieś pięć kilometrów do szkoły. I tak je woziałam, aż któregoś dnia wracałam z pracy, była godzina około 5:00, patrzę, a ta garstka dzieci wraca do domu. Więc myślę sobie: „Oj, podwiozę je też”. Zatrzymałam się, one weszły. Proszę państwa, po 15 minutach myślałam, że zemdleję. Odór był tak straszny od ich potu, że ja otworzyłam okno, miałam głowę wystawioną prawie za okno, prowadząc samochód jedną ręką i od tej pory, wstyd się przyznać, ale robiłam wszystko, żeby broń Boże po południu nie wracać tą drogą, którą one wracały ze szkoły, bo nie dałam rady ich przewieźć. Taki był straszny odór. Mimo, że oni są naprawdę czysti. Oni się myją, ale to pot jest taki okropny i wtedy sobie przypominałam, jak mi mama opowiadała, że jak pojechała do ojca do Grecji go odwiedzić i szofer ją wiózł, to też dostała mdłości, bo on z kolei gryzł cały czas oliwki i podobno ten zapach tego oleju z oliwek, przetworzonego, był tak nie do wytrzymania. Dopiero wtedy sobie przypominałam, co mi mama opowiadała, że rzeczywiście.

Artur Kłus: Jak długo była pani w Nigerii?

Irena Mazgay-Sobczyk: Dziesięć lat.

Joanna Dardzińska: Czyli w jakim okresie?

Irena Mazgay-Sobczyk: Od 1981 do 1990 roku.

Artur Kłus: A tam rodzina przyjeżdżała do pani?

Irena Mazgay-Sobczyk: To znaczy mąż przyjechał pierwszy raz po ośmiu miesiącach na Boże Narodzenie i wtedy załatwiłam mu wywiad na politechnice, taki, czy by go przyjęli do pracy i został zaakceptowany, i dostał formę jak gdyby propozycji angażu, i po roku przyjechał, następnym roku, bo od grudnia do grudnia byłam sama, a potem od grudnia do września byłam też sama i we wrześniu mąż przyjechał, i zaczął pracę na politechnice w Calabarze.

Artur Kłus: Na jak długo został?

Irena Mazgay-Sobczyk: Wtedy już został, po tych dwóch latach został ze mną na stałe.

Artur Kłus: A jak wyglądały takie święta w Nigerii?

Irena Mazgay-Sobczyk: Święta, jakie?

Artur Kłus: Pani wspominała, że przyjechał mąż na święta Bożego Narodzenia.

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak, na Boże Narodzenie. Dlatego, że miał urlop, dostał urlop, przyjechał do mnie na Boże Narodzenie. Ja wyjechałam w kwietniu, a on przyjechał pierwszy raz w grudniu do mnie. Zobaczyliśmy się dopiero po tylu miesiącach. I był wtedy miesiąc, wrócił do Ostrołęki, zaczął się starać o zgodę na wyjazd i potem załatwił wszystko w bólach ogromnych, bo mu nie chciano dać zgody. Był taki wojewoda Mizga w Ostrołęce, który robił wszystko,

żeby mu nie dać zgody na urlop bezpłatny. I dopiero mąż się zdenerwował, poszedł do sekretarza wojewódzkiego i powiedział, że żona wyjechała, on by chciał być z żoną a takie mu robią świństwa. I sekretarz pomógł mu, załatwił, że dostał zgodę. I wtedy przyjechał, i od września zaczął pracę na politechnice w Calabarze. I tam pracował cztery lata najpierw, a potem przez przypadek załatwiłam mu pracę w firmie niemieckiej, która obsługiwała browary. Bardzo ciekawa praca, ciężka. Pracowali po 12 godzin dziennie w tym upale. A proszę państwa, temperatura w Nigerii to jest od 28 do 50 stopni. Dzień się składa z dwóch części. O 6:00 jest ciemno jak, jak to się mówi u nas, u murzyna w brzuchu, 6:15 jest pełne słońce. I do godziny 5:45 wieczorem jest pełne słońce, a o 6:00 jest ciemna noc. I dzień jest podzielony, ponieważ to jest prawie na równiku. Na piątym stopniu wysokości geograficznej... No. I tak żeśmy sobie tam żyli. Ale że wody nie było, że światła nie było to normalka. Światło było, mój... Tam, gdzie ja miałam swoje mieszkanie, to było 50 kilometrów od szpitala. Ja codziennie musiałam do tego szpitala dojeżdżać, ale tutaj było tak, że o 5:00 załączano generator i włączano światło, żeby ugotować śniadanie, a potem wyłączano generator i włączano go dopiero wieczorem, też na dwie godziny. Tak że wodę miałam tylko przywożoną z rzeki w kanistrach po 20 litrów. Moje pierwsze wspomnienie z Nigerii, przyjechałam, mój szef wziął mnie do siebie do domu i pierwsze co, ja byłam tak spocona, że marzyłam o kąpeli. Przyjechaliśmy do Calabaru z Port Harcourt i okazuje się, że wyłączyła Nepa, to jest energetyka państwowa, światło. Nie ma światła, nie ma wody. Więc on, ja mówię, że ja bym się chciała umyć. Żona mojego szefa przyniosła mi trzy czwarte litra wody w butelce. To było wszystko, co miałam do umycia się. Ale stara harcerka umyła wszystko. Miałam generatorek taki mały, który się włączało tylko na czas operacji, żebym miała światło. A tak cały dzień siedziałam w tym gorącu. Na koniec upomniałam się, po chyba dziewięciu miesiącach kupił mi klimatyzator, ale ten klimatyzator był włączany tylko na czas operacji, kiedy ja byłam ubrana w maskę, w fartuch, operowałam, to powiedzmy, przez dwie godziny pracował klimatyzator i miałam światło.

Artur Kłus: I przez całe dziesięć lat była pan w tym samym miejscu?

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak. Nie, czy nie... Przez cztery. Potem mąż zmienił pracę i pracowałam w Onitshy i w Lagos.

Artur Kłus: Czyli w pierwszym miejscu w Nigerii pani pracowała...

Irena Mazgay-Sobczyk: Cztery lata.

Artur Kłus: Cztery lata.

Irena Mazgay-Sobczyk: Cztery lata w pierwszym... W tym buszu. W tym buszu pracowałam cztery lata. Potem pracowałam w Onitshy. Też w szpitalu, ale już takim przyzwoitszym, bo to duże miasto, to już było miasto, już było światło, już było... To już były lepsze warunki. Najwięcej właśnie jest ślepoty wśród dzieci spowodowanej odry, bo to są bielma rogówki po zatarciu rogówki przy zapaleniu spojówek w czasie odry, a nieleczonych, bo proszę państwa, ja byłam, w niektórych miejscach jak pracowałam, to do mnie przyjeżdżali ludzie ze 150 kilometrów odległości. Bo nie było okulisty innego. Tak że kto pojechał, jak dziecko swędziało oko i tarło, przecież nie pojedzie. Druga rzecz, za wszystko trzeba płacić. Nie ma ubezpieczalni, nie ma zniżek. Co mnie na przykład ubodło do głębi, że szpital prowadzony przez kościół katolicki, na progu możesz umrzeć, jak nie zapłacisz, to cię nie wpuszczą. I wiem, że się

pokłóciłam z jednym z misjonarzy. Mówię: „Jak wy możecie?”. A on mówi: „Irena, to niemożliwe. Ja zawiozłem i mi przyjęli”. Ja mówię: „Ty zawiozłeś, bo ty jesteś ksiądz. Ty jesteś ich, to oni cię...”. A potem był taki przypadek, że w fabryce celulozy w Oku Iboku, gdzie pracował nasz przyjaciel, jeden z kolegów przewrócił się i złamał rękę. Więc koledzy w samochód i pojechali z nim do Uyo do szpitala, bo to był najbliższy szpital od Oku Iboku. I nie przyjęli ich, bo nie mieli przy sobie pieniędzy, żeby zapłacić, więc musieli go zostawić, wrócić te 120 kilometrów, wziąć pieniądze i dopiero się nim zajęli. My sobie nie zdajemy sprawy, jaka ta służba zdrowia jest, to jest, ale ona jest dostępna i nikt nie umrze, dlatego że mu pierwszej pomocy się nie udzieli. Tam się nikt nikim nie przejmuje. Na przykład jeżeli kogoś zabiją na drodze, wypadek, to nikt tego trupa nie dotknie, bo by go zaraz posądzili, że to może on zabił. Więc się zostawia, obkłada go się liśćmi i samochody go objeżdżają, a potem go rozjeżdżają. Pamiętam, w Uyo... Uyo to jest taka miejscowość 30 kilometrów od mojej kliniki. Musiałam przez Uyo zawsze jechać do domu. Więc... Bo w buszu miałam klinikę, przez Uyo, i tam była poczta. I na tej poczcie, któregoś dnia, drugiego, potem leżał, a potem się okazało, że umarł i nikt go nie dotykał. Siedział na... Leżał na tych schodach i ja poszłam do kierownika poczty, i mówię do niego: „Słuchaj, zrób coś. On leży. Przecież on zacznie zaraz wysychać tutaj”. To on zamknął tu okno, zamknął okiennice i otworzył pocztę z drugiej strony. A potem jak przyjechałam po trzech dniach, to te zwłoki były zasypane piaskiem i w tym miejscu go pochowano, gdzie umarł. Tam nie ma dowodów osobistych. Tam nie ma żadnych, że tak powiem możliwości stwierdzenia kim, kto jest. Jeżeli w Nigerii dochodzi do wypadku na drodze, na drodze w sensie wypadek komunikacyjny, i ginie 50 osób w autobusie, to się kopie dół, te zwłoki wszystkie się wrzuca do dołu i się zakopuje. Nikt nie sprawdza, bo nikt przy sobie nie ma żadnego dowodu osobistego. Życie tam jest ciekawe. Ja na przykład nie bałam się, ja jeździłam po nocy, ja wracałam z brydża na przykład o 1:00 w nocy. Wiedziałam, że mnie tam wszyscy chronią, bo mi powiedzieli: „Doktor, ty jesteś pod naszą opieką. Ty jesteś nasza, bo ty nam robisz dobrze. Ty nam pomagasz”. Ale na przykład w Lagos, jak się jechało do znajomych na kolację, to się jechało na kolację z noclegiem, bo po nocy się w Lagos nie wracało. Dlatego, że można było nie dojechać do domu. Napaści były na porządku dziennym.

Joanna Dardzińska: Czyli mieli państwo tam jakieś życie towarzyskie.

Artur Kłus: Życie towarzyskie tam było?

Irena Mazgay-Sobczyk: Oj, bardzo bujne. Bujne. Spotykaliśmy się.

Artur Kłus: A z kim państwo się tam spotykali?

Irena Mazgay-Sobczyk: Proszę?

Artur Kłus: Z kim państwo się tam spotykali? Jakie było towarzystwo?

Irena Mazgay-Sobczyk: Byli Anglicy, Francuzi, Niemcy, Szwajcarzy. Proszę państwa, mamy do dzisiaj przyjaciół w Anglii, z którymi korespondujemy, w Szwajcarii i w Niemczech, z którymi żeśmy się poznali właśnie w Nigerii. To jest, ile lat... 30 lat, jak żeśmy się rozstali. Bo w 1990 roku ostatni raz żeśmy się widzieli. Do dzisiejszego dnia korespondujemy, rozmawiamy telefonicznie, jesteśmy zaprzyjaźnieni.

Joanna Dardzińska: To byli inżynierowie, lekarze?

Irena Mazgay-Sobczyk: Lekarze i inżynierowie. To byli wszystko inżynierowie. Z lekarzy było kilku Polaków, ale muszę powiedzieć, że pomocni dla siebie nie jesteśmy. Proszę państwa, Hindusi, jak byli grupą w Calabarze, to się skrzyknęli, wybrali z pomiędzy siebie jednego, na którego ręce robili składkę i ten jeden Hindus nawiązywał kontakty z urzędami, w których trzeba było coś załatwić. I on załatwiał dla całej grupy Hindusów. Więc mój mąż, jak przyjechał i zaczął już pracować, nie mógł dostać tak zwanego residence permit. Bo to takie pozwolenie na przebywanie w Nigerii. Złożył dokumenty, ale cisza. A tutaj tak, trzy miesiące minę i nie może wysłać pieniędzy za granicę. Po trzech miesiącach przepadają. I mieszkał w hotelu politechniki, i przy kolacji, rozmawiając z kolegą Hindusem, poskarżył mu się, tak mimochodem, że ma takie właśnie kłopoty z bankiem, a ten do niego mówi: „Ja ci pomogę”. Poszedł z nim, poznał go z odpowiednimi ludźmi na odpowiednich stanowiskach. Mówi tak: „Danek, zaproś go na kolację”. Ja się śmieję, bo moja mama mnie nauczyła: „Kleine Geschenke erhalten die Freundschaft” To znaczy, że małe prezenty podtrzymują przyjaźń. I ten Hindus mówi też: „Masz jakiś prezent?” Danek mówi: „Mam koszulę”. „To daj mu koszulę. Zaproś go na kolację” i on go wprowadził, poznał go z jednym, z drugim, z trzecim i w przeciągu dwóch tygodni mój mąż miał wszystkie dokumenty załatwione. Ale na przykład ja poszłam złożyć zeznanie podatkowe i okazuje się, że mogę mieć czwórkę dzieci, ale za dzieci odpowiada mąż, więc ja nie mogę odpisywać sobie od podatku na dzieci. Ale były takie, można było powiedzieć, że nikt nie sprawdzał dokumentów, więc na przykład ja pokazałam zdjęcie mojej córki z zięciem i mówię, że to mój syn, i moja córka. To masz dzieci, to możesz mieć 5% obniżki na podatku. Mówię: „Świetnie”. A potem mówię do naszych: „Dlaczegoście mi nie powiedzieli?” „Myśleliśmy, że wiesz”. Pytam się: „Skąd? Przyjechała kobieta, wiecie, że nie miałam kontaktu z nikim z Nigerii, to skąd miałam wiedzieć? A wy tu siedzicie...”

Artur Kłus: Wy, inni Polacy.

Irena Mazgay-Sobczyk: Polacy. „I nie puściliście pary z gęby”. Nic. Wychodzą różne cechy charakteru. Ten nasz przyjaciel właśnie, co mamy jego te wspomnienia, jak szedł z armią Andersa, to on pracował w Oku Iboku jako inżynier mechanik. Bardzo lgnął do Polaków, bo on Warszawiak. Ale... I tak żeśmy się zaprzyjaźnili. Potem jak Danek przyjechał, to panowie byli nierozłączni, ale żeśmy grali w brydża, graliśmy w kraj, miasto, rzeka, roślina.

Joanna Dardzińska: „Państwa, miasta”.

Irena Mazgay-Sobczyk: A to w brydża się grało. Aha, jeszcze była taka cudowna gra, „Trivial Pursuit”. To była taka ruletka, którą się kręciło i były tematy. Była geografia, biologia, literatura, kino, tam komiksy i się ciągnęło pytania. Słuchajcie, to my z Dankiem byliśmy geniusze, jeżeli chodzi o geografę, historię świata. Natomiast Amerykanie bili nas w komiksach, filmach. Myśmy tego nie znali w ogóle, jakieś postacie. Natomiast oni nie mieli pojęcia o historii Europy w ogóle. Patrzyli na nas: „Skąd wy wiecie? Skąd wy wiecie gdzie jest Kilimandżaro?”, skąd wy wiecie, że coś tam, skąd wy macie takie wiadomości. Bo oni znali tylko, na przykład Amerykanie sto lat historii Ameryki. To była historia. Jeżeli o historię Europy, o średniowiecze, o Rzym, w ogóle takie gały wywalali. Nic nie wiedzieli. Wykształcenie mieli strasznie marne. Ja wiem zresztą, bo moja córka, jak jej syn poszedł do szkoły w Kanadzie, pani na wywiadówce

z pretensją do rodziców, że dzieci nie znają tabliczki mnożenia. No, nie znają. A Tyśka mówi: „Wie pani co, ja pochodzę z Polski i u mnie w klasie było tak, że jak pani sprawdzała listę, to potem było tak: «Kowalski, trzy razy trzy», «Jasiński, pięć razy dwa» - I mówi - tak, pięć minut obleciała pół klasy, i każdy się musiał nauczyć”. „O, to ja będę musiała chyba też”, powiedziała pani. Staralam się ratować ich, mimo że nie mieli pieniędzy. Bo zrozumcie, jeżeli na przykład przychodził pacjent i ja mu zmieniałam opatrunek, i zapisywałam lek, on nie miał pieniędzy na wykupienie tego leku. To potem wpadłam na pomysł, że wyznaczałam wizytę za dwa dni. A tam było tak, że płacono się tak zwany entrance fee, czyli wejściową opłatę i za tę opłatę wolno było przychodzić do lekarza przez cały rok. Więc ja, jak kazałam przyjść za dwa dni, to on już nie płacił, a ja zmieniałam opatrunek, dawałam leki i wypuszczałam. I znowu kazałam przychodzić za dwa dni. To mój szef potem kazał pielęgniarkę, że za zmianę opatrunku ma brać opłatę. To ja mówiłam: „Ja nie zmieniam opatrunku”. Odklejałam, dawałam czysty wacik i zaklejałam z powrotem, żeby on nie płacił. Bo bardzo biedni ludzie, ale bardzo uczciwi, jeżeli chodzi o prowincję. Tam... Proszę państwa, tam nie było przypadku, żeby ktoś coś zniszczył po to tylko, żeby zniszczyć. Bo u nas to chłopak idzie, rośnie drzewko, to go złamię, bo po co stoi, nie? Tam się coś takiego w życiu nie zdarzyło. W buszu stały... Znalazł mój mąż.. Danku, tę rafinerię, taką z XVIII wieku, stała angielska. Maszyny nowiusieńkie. Ani jednej śrubki nie brakowało. Nikt nic nie rozkradł, nikt nic nie ruszył. To było nie do pomyslenia. To nie jest moje, tego się nie rusza. Nie ma wandalizmu. Tego moglibyśmy się od nich nauczyć. Wandalizmu tam nie ma. Naprawdę.

Joanna Dardzińska: Czy mogłaby pani może jeszcze coś uzupełnić odnośnie tej rodziny Śmigaczów?

Irena Mazgay-Sobczyk: Dobrze. Więc tak, Henio przyjeżdżał do nas do Ostrołęki. Ja myślę, że w Ostrołęce w albumach, jak pojedziemy do Zator, to tam są z przyjazdu Henia, jak był u nas w Zatorach, bo był u nas nad Narwią. Tam powinny być jeszcze zdjęcia, jak był u nas.

Joanna Dardzińska: Oni chyba często przyjeżdżali do państwa.

Irena Mazgay-Sobczyk: Przyjeżdżał często do nas, tak. Ale tak rozmawiał, wie pan, to były rozmowy takie. A myśmy się wypytywali trochę o ten świątek teatralny, byliśmy ciekawi, ale z przykrością stwierdzam, że byliśmy za młodzi na to, żeby się dopytywać o stare czasy. Proszę zrozumieć. Ja dlatego zwracam się tak do państwa, ale do młodzieży. Ludzie, rozmawiajcie, bo nie wiecie, jak szybko tracimy najbliższych, którzy mogą nam coś powiedzieć. Przecież... Taka była ciocia Jadzia w Warszawie. Znacząca ona była Zbroniarka kuzynką i ja ją namówiłam, Jadzię, bo ona uciekała z Warszawy. Tylko ja teraz nie wiem, z jakiego to jest okresu, ale ona opisała w takim notesiku całą swoją peregrynację, jak uciekali z Warszawy i potem wracali.

Joanna Dardzińska: 1939 rok.

Irena Mazgay-Sobczyk: I muszę zadzwonić do jej syna, czy on ten notesik ma, bo to byłoby bardzo ciekawe dla was, bo to taka warszawianka, która by właśnie opowiedziała o tych rzeczach.

Artur Kłus: Jeszcze jakieś wspomnienia ma pani, jeżeli chodzi o Henryka Śmigacza?

Irena Mazgay-Sobczyk: Ale to nie to... To taki może...

Joanna Dardzińska: Towarzyskie, rodzinno-towarzyskie.

Irena Mazgay-Sobczyk: Byliśmy, pojechaliśmy do Łodzi i Henio nas wziął na striptiz. I Jadzia, i my, i Henio byliśmy w knajpie i był striptiz.

Artur Kłus: Który to był rok?

Irena Mazgay-Sobczyk: To był rok... Danek...

Joanna Dardzińska: 1956 rok.

Irena Mazgay-Sobczyk: który to był rok?

Artur Kłus: 1956 rok, pan mówi.

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak? Musiał być. Nie, później.

Joanna Dardzińska: Albo 1957 rok.

Irena Mazgay-Sobczyk: Danek, później. Już dziewczynki były chyba, miały jakoś po pięć lat, nie? 1960 rok?

Joanna Dardzińska: Nie, nie. Wcześniej, bo to było zaraz po odwilży, powstawały właśnie te pierwsze kluby takie, gdzie był striptiz.

Irena Mazgay-Sobczyk: Tak. To jeszcze było przed naszym wyjazdem. Tak.

Joanna Dardzińska: Tak.

Irena Mazgay-Sobczyk: I najlepsze było, tam żeśmy byli, gały takie, na tym striptizie i w pewnym momencie Henio mówi: „Ale te dziewczyny ciężko pracują”. I Jadzię wtedy, przepraszam za wyrażenie, krew zalała. Mówi: „Henio, jak to ciężko? Ja ci się mogę rozbierać codziennie”. „Żebyś ty była jeszcze obca”, on jej na to powiedział. Henio był dowcipny, tak.